

MALY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie

Nr. 25. ²⁶

Bydgoszcz, niedziela 12 grudnia 1909.

Rok II.

Zabawy Zimą.

Na lodzie.

Zanim Gwiazdka przyniesie dzieciom w podarku po parze łyżew, już próbują one sztuki łyżwowania na drewniakach, które pod podszewy podkładają, i ślizgają się na nich lub nawet i bez nich, to stojąco, to zgięto lub na czepku. Różnym figurom, jakie starają się naśladować, nadają odpowiednie nazwiska. Ślizgają się więc jak szewc, strzelec, krawiec i t. d.

Rodzice, przekonawszy się, że dzieci zbytnio na ślizgawkach zdzierają obuwia, sprawiają im na gwiazdkę łyżwy... cóżby ostatecznie dla dzieci swych nie uczynili? Niech się zabawią, niech użyją świeżego powietrza.

Łyżwy powinny być normalne, t. j. 1 centymetr dłuższe od obuwia, szyna 12 ctm. wysoka, $\frac{1}{2}$ ctm. gruba, z przodu i z tyłu nieco w górę zagięta. Praktyczne są łyżwy, które do obuwia się przyczepia bez rzemieni.

Początkujący powinien poprosić dwóch przyjaciół, biegłych łyżwiarzy, którzyby go z obydwóch stron podjęli pod ramiona i pomalutko prowadzili. Pierwszym zadaniem jest nauczyć się stać; potem pomalutko pusuwać nogę za nogą, drugą zawsze przyciągając; — nie chodzić, ale posuwać nogi należy. Posuwawszy lewą nogę, prawą się przyciąga do pierwszej w kącie prostym, nieco od lodu w powietrzu trzymając; poczem stawia się prawą, a lewą się odpycha — i znów przyciąga do prawej. Nim dłuższą przestrzeń na jednej nodze przebedziesz, tem lepiej. Już zaraz w początku trzeba się starać trzymać korpus prosto, a nie pochyło. Kolan nie trzymaj sztywno, jak tyczki, ale nieco zgięto, elastycznie; rękoma nie wzmachuj, ale trzymaj je spokojnie.

Chcesz skrócić na lewo, natenczas prawą nogę wysuń nieco naprzód, czubek kierując w lewą stronę, w tę stronę zwróć się też całą figurą. Skracając na prawo, wysuń lewą nogę i t. d.

Najszybciej w tę lub ową stronę skrócić można przez przełożenie nogi, n. p. w lewo — prawej przed lewą, w prawo — lewej przed prawą. Przekładając nogę bezustannie, zataczasz koło. Prawdziwą przyjemnością jest tak zwane holendrowanie. Jest to zataczanie kół na zewnątrz. Wykonuje się je na zewnętrznej stronie szyny łyżwowej, przyczem

ciało przechyla się w tę stronę, w którą koło się zatacza; noga powinna być mocno osadzona. Druga noga podaje kierunek, utrzymuje równowagę. Mocno się nią odepchnawszy, podnieś ją w górę i pomalutko do pierwszej przyciągnij. Tam gdzie się kończy pierwsze koło, nową drugą nogą rozpocząć się powinno. Tak samo możesz holendrować i w tył.

Kto się nauczył holendrować, temu nie sprawi trudności wykonywanie najrozmaitszych figur, n. p. ósemek lub trójek. Ósemka składa się z dwóch kółek; wykonuje się ją holendrując raz w prawo, drugi raz w lewo, tylko na zewnątrz. Trójka składa się z dwóch łuków. Wykonuje się ją na jednej nodze. Zaholendrowawszy na zewnątrz, zakrećasz w miejscu, gdzie owe dwa łuki trójki się łączą, i drugi łuk zataczasz tyłem na wewnątrz.

Przy pewnym ćwiczeniu uda ci się z pewnością wypisać wszelkie głoski alfabetu i wykonać inne figury.

Że i większe towarzystwa na lodzie zabawić się mogą, widzimy to wszędzie, gdziekolwiek miejsce do biegania na łyżwach urządzono. Można biegać parami i w większych grupach, bawić się w węża i inne gry towarzyskie, jak „ostatnia para wychódź!“ i t. d. Nie mniej można wykonywać i tańce, a szczególnie nadaje się do tego kontredans.

Bieganie na łyżwach jest rozrywką bardzo zdrową i miłą, ale rozsądnie trzeba jej używać. Przytaczamy kilka uwag dla bezpieczeństwa czytelników.

Gdyś się zmęczysz bieganiem, nie siadaj i nie odpoczywaj, lecz zwolnij biegu. Niewłaściwie czynią ci, którzy krótko przed zejściem z lodu, rozpędzają się, aby na ostatku jeszcze użyć zabawy. Usiadłszy następnie na ławce, aby odjąć łyżwy i pójść do domu, łatwo zaziębić się mogą. Piwa ani wódek na lodzie nie pij. Oddychaj przez nos; usta miej zamknięte. Wskutek nieprawidłowego oddychania powstają zaziębienia krtani, płuc, kaszle i inne niedomagania. Wciągaj powietrze nosem, a wypuszczaj ustami. W czasie biegania nie rozmawiaj, gdyż tak samo łatwo mógłbyś się zaziębić, jak gdybyś oddychał przez usta. Papierosów, cygar ani jakichkolwiek tytoni na lodzie nie pal. Palenie na lodzie szkodzi nie tylko tobie, ale jest także nieprzyzwoitem. Jakże łatwo możesz zaproszyć ogniem oczy innym towarzyszom zabawy, mianowicie gdy wiatr

wieje. Samo dymienie komuś w nos, kiedy każdy chce użyć świeżego powietrza, także przyjemnym nie jest. Zdarzały się wypadki, że jeden drugiemu, na niego wpadłszy, oko cygarem wypalił. Papierków, niedopałków, zapalek i t. d. na łód nie rauczaj, aby nieszczęście jakie z twojej winy się nie wydarzyło. Jeżeli już od palenia wstrzymać się nie możesz i musisz dymić jak komin, to przynajmniej zachowaj wszelką ostrożność i niedopałki wyrzucaj poza obręb miejsca zabawy. Schodząc z łodu, ubierz się w ciepłe palto, i idź natychmiast do domu.

Zachowujecie przeto wszelką ostrożność, abyście się nie zaziębili; a po drugie, aby z przyczyny waszej innym nieszczęście się nie wydarzyło.

Książd Maćkiewicz

bojownik za wiarę i wolność.

Powieść historyczna z powstania roku 1863.

(Ciąg dalszy.)

Pani Maćkiewiczowa tymczasem poszła wydoić krowę, a idąc z mlekiem do piwnicy, spostrzegła siedzącego męża na ławie pod gankiem. Wstawiwszy mleko do piwnicy, usiadła obok męża i powtórzyła mu swoją rozmowę z Antkiem.

Stary uspokoił się już zupełnie, rzekł też głosem pełnym smutku:

„Oj, ciężka nasza dola! Jużciż ja widzę, że chłopak bez książki wyżyć nie może, jak ryba bez wody. Ale cóż ja poradzę. Wiele to dzieci w bogatych domach ucieka od nauki jak od ognia, a nasz rwie się do niej jak do raję. Ale czyż ja, szlachcic zachciankowy, pan jaki, czy co? Gorzej od chłopca pracować muszę i cierpieć nad tem, że dziecku nijakiego wykształcenia dać nie mogę“.

„Ale i do kowala oddawać Antka nie można“, mówiła matka, „zmarniałby przy ciężkiej pracy“.

„Ale co z nim robić?“ mówił znowu ojciec z niecierpliwością w głosie, „wszakże nie mogę pozwolić, aby rósł na próżniaka“.

„Poczekaj, poczekaj!“ mówiła słodkim głosem pani Maćkiewiczowa, „może Pan Bóg natehnie nas jaką dobrą myślą. Jutro niedziela, pójdę do kościoła, pomodłę się do Boga; wszakże On jest opiekunem strapiionych“.

Nazajutrz matka z synem wybrała się do sąsiedniej miejsciny Cytowian, aby tam w kościele prosić Boga o zmiłowanie. Matka i chłopiec modlili się serdecznie, gorąco. Po Mszy świętej puścili się z powrotem do domu. W drodze chłopiec zwrócił się do matki rzekł:

„Matusiu, jużci ja widzę, że wy nie możeciełożyć na moje wykształcenie, ale bez książek żyć nie mogę. Uproście ojca, aby mi pozwolił iść do Wilna, do szkoły. Przy pomocy Boskiej dam sobie radę, niech ino ojciec da mi kilka groszy na drogę“.

Matce ścisnęło się serce, gdy posłyszała słowa syna. Uprosić ojca, aby pozwolił dziecku samemu iść w świat szereki bez opieki! bez zaopatrzenia?!

Idąc, przypomniła sobie, że dzieciak bez niczyjej prawie pomocy nauczył się czytać i pisać, pytając to ojca, to matki, co znaczą czarne kreski na białych kartkach książki do modlitwy. Zimowemi wieczorami przy migotliwym świetle komina nauczył się od ojca początków pisania, resztę zrobił już sam. Wszakże umie czytać, a pisze tak pięknie, że organista dziwił się, ujrzawszy jego pismo.

Wieczorem dnia tego długo naradzali się rodzice Antosia, wreszcie postanowili wyprawić Antka po świętach do Wilna na naukę. Matka poczęła skrzętnie grosze zbierać za jajka, za mleko i za masło, aby synowi sprawić jakie ubranie i dać na drogę kilka groszy. Ścisnęło się biedaczce serce z bólu, że jej Antek pójdzie sam w świat. Uboga matka nie innego zrobić nie mogła, jak tylko w gorącej modlitwie błagać Boga o opiekę nad dzieckiem swoim.

Na oplece Boskiej.

W pogodny poranek wrześnieowy, szczerpły chłopczyna wyszedł z dworku rodzinnego na południe do Wilna szukać skarbów wiedzy, w daleki nieznany, sobie świat. Za odchodzącym spoglądali rodzice, kreśląc Krzyż święty w powietrzu. Matka z zaczerwienionemi od płaczu oczyma spoglądała za żwawo idącym synem.

Miał on na sobie nowe szaraczkowe ubranie i mały węzełek na plecach. W węzełku znajdowało się kilka rubli i trochę zapasów żywności. Oto wszystko, co mogli dać ubodzy rodzice dziecku, cheiwemu nauki. Antoś Maćkiewicz, jakkolwiek brał się gorąco do książki, zapłakał, żegnając się z rodzicami. Zażawianemi oczyma spoglądał na zaścianek, w którym spędził lata dzieciinne, z żalem opuszczał ukochaną Zmudź. Pomimo, że chłopaka żal ścisnął za gardło, szedł rażno, biegł raczej, jakby ze strachem, aby nie przyszła mu ochota wrócić pod strzechę rodzicielską.

Okolo południa zmęczony chłopczyna postanowił odpocząć. Usiadł pod rozłożystą, dziką gruszą, dobył z zawiniątka ser i chleb — i lzy stanęły mu w oczach. Przypomniawsobie, że chleb przyniosła mu matka w drżących rękach, te same drogie, spracowane ręce chleb ów zrobiły, upiekły, przypomniał sobie, że ojciec obrabiał pełe na chleb, że je zasiewał własnymi rękami. Własnymi rękami młócił i męł zboże na żernach.

Kiedy i czy ujrzy rodziców? — przemknęło po głowie małego wędrowca. Tęskne myśli wycisnęły potoki łez z oczu chłopczyka. Otarł je szybko, bo przypomniał sobie, że wyszedł dobrowolnie z domu, wyszedł, aby osiąść naukę.

Myśl o nauce osuszyła lzy chłopcu, napil się ze zdroju wody i orzeźwił, zjadł chleba kawałek, odpoczął, i miał znowu siły do dalszej drogi.

Szedł szybko, myśląc o książkach i szkole, o przyszłości. Przyszła mu także na myśl wioska rodzinna, pola, łąki, po których pałało się bydło rogate. Najdłużej jednak zatrzymał się myślą przed dworkiem, w którym zostawił rodziców. Przebiegł w nim wszystkie izby, wszystkie zakątki; najchętniej przebywał myślą tam, gdzie w rzeczywistości było najlepiej. Oto pod dachem dworku, na strychu.

Tu między różnorodnymi rupieciami znajdował się stos „szarej bibuły“, jak wyrażał się ojciec naszego zucha. Bibuły te miały dla Antosia Mackiewicza urok niesłychany. Z tych szarych stronic wyglądających ze starych ksiąg dowiadywał się chłopczyna o przeszłości naszej Ojczyzny, poznawał z nich świętych zacnych bohaterów i królów. Ze stosu starych ksiąg występowały przed oczy chłopca niezliczone postacie ludzi, którzy w znoju i w boju pracowali około dobra publicznego. Każdy z zasłużonych wydawał się chłopcu robotnikiem, dokładającym cegły i kamienie dla zbudowania gmachu wspaniałego, noszącego nazwę „Ojczyzna.“

Rozmyślenia kończył chłopczyna westchnieniem do Boga, aby i on mógł jakąś cegielkę dołożyć do wspólnego gmachu, aby mógł śmieci i gruzy z gmachu starego usunąć.

Tak myśląc szedł, i dopiero, gdy ciemnieć poczynało, przypomniał mu się nocleg!

„Gdzie zanoćuję?“ myślał, z trwogą rozglądając się wśród pustego pola. Śród dnia przechodził około zagród wiejskich, a nawet jedną z nich minął przed godziną, może, lecz wtedy o noclegu nie myślał. Wracać nie chciał.

„Ej! pewnie napotkam jeszcze przed wieczorem wieś lub chatę, w której dobrzy ludzie pozwolą mi prznocować.“

Szedł zatem dalej, rozglądając się bacznie. Lecz niestety ni wsi, ni domu nie było widać, miał tylko przed sobą szumiący las. Zapadająca noc nie pozwalała myśleć o dalszej drodze, a las swoją poważną ciszą przerażał chłopca.

Nie było rady, trzeba prznocować tu kończnie, bo ciemność nie pozwalała iść dalej. Ze strachu zapomniał nasz malec o wieczery, położył węzełek pod rozłożystą sosną, wsparł na nim głowę i leżał z szeroko otwartymi oczyma, spoglądał w niezgłębioną ciemność. Lecz noc położyła na oczach chłopca niby ciemną zasłonę, z pod której światła Bożego nie widział. Przestraszał go najłżejszy ruch. Gdy liście na drzewach zaszleściwały, zdawało się biedakowi, że dziki zwierz zbliża się, aby go pożreć; już, już widzi nad sobą jego błyszczące oczy. Ze strachu nie może poruszyć się z miejsca, patrzy przerażony w świecące oczy zwierza, i przekonany się z radością, że to nie wilec oczy, lecz gwiazdy migoczą na niebie. Uspokoiwszy się, zaczął szeptać słowa modlitwy, wreszcie zasnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Witaj!...

Witaj mi Ziemi, ma smutna matulu,
Witaj mi znowu... Przebiegłem mil tyle,
By znowu Ciebie zobaczyć na chwilę,
By serce pełne tęsknoty i bólu,
Szumem wiślanej ukolysać gwary...
Witaj mi Ziemi!... Witajcie ugory,
Tonące latem w złotokłóśnych zbożach.
Dziś czarne smutkiem owiane obszary.
I wy mogiły na polnych rozdrożach,
Dziś zadusznymi ogniami płonące...
Witajcie ciemne mazowieckie bory,
Wciąż prastaremi pieśniami szumiące...
Witajcie!

Snilem o Tobie, Ty droga ma Ziemi,
Tam w obcym kraju... Rzesiste lzy
Zraszały twarde, żołnierskie me łoża,
Kiedy świat ciemnym otulał się zmrokiem...
Kocham ciebie tak szczerze, tak szczerze...
Za tych, co w łonie Twojem cicho drzemią;
Snam nieprzebudnym, szeptałem pacierze;
Zachodzącego słońca krwawe zorze
Piłem spragnionym, kochającym wzrokiem,
Bo tam, w tych zorzach byłaś Ty!...

Zaduszne ognie na mogiłach świecą,
Z kościelnych wieżyc dwonów płyną jęki,
Szmer łez sierocych, pogrzebnych pień
[dźwięki,

Niby żałobne ptaki w błękit leca...
A słońce we mgły skryło twarz swą złotą,
Jesienny wichur nad polami płacze...

Znowu iść trzeba... i znowu tęsknotą
Na obcej ziemi serce zakolacze...

Franciszek Przyrowski, żołnierz.

Wzór wytrwałości.

Krwawą rzeką spłynął rynek w Sztokholmie 7 listopada 1520 r., zginęło tam czoło narodu, najznakomitsi przedstawiciele wszystkich stanów. Historia dzień ten nazwała dniem Krwawej kąpieli, a sprawca jej, okrutny Chrystyan II król duński, święcił tryumfy zwycięstwa, zagarniając Szwecję pod swe panowanie.

Między zabitemi ofiarami, które zaległy rynek, znajdował się także Eryk Waza spokrewniony z rodziną panującą w Szwecyi. Poległ Eryk i młody jego zięć. W mieście zapanowało grobowe milczenie, nie było komu plakać nad niedolą kraju, bo boleść i strach zamknęły najodważniejsze usta.

Chrystyan nie dowierzał jednak pozornie uspokojonym Szwedom, zażądał zakładników, i kwiat młodzieży, synowie poległych, zawiezieni zostali do Danii, aby wśród nienawistnego sobie kraju żyć pod grozą ciągłego niebezpieczeństwa.

Sledzono tymczasem usposobienie Szwedów i najdrobniejszy wybryk, najłżejszy objaw

ich działalności był karany śmiercią zakładników.

Zakładnik taki mieszkał już od dawna w Danii, był nim Gustaw Waza, dzielny sercem i umysłem, bo odebrał staranne wychowanie a dopełnił je studjami w Oksfordzkim uniwersytecie.

W wojnie z Danią dał dowody wielkiego męstwa, więc też strzeżono go pilnie w zamku Kalloe, gdzie młodzieńca szarpały różnorodne uczucia, tęsknota za ojczyzną, niepokój o rodzinę, którą tam zostawił, żądza zemsty, pragnienie powrotu. Aż zmęczony żalem i bólem postanowił wyrwać się przemocą i wracać do kraju.

Przebrany za wieśniaka omylił czujność stróżów i uciekł z więzienia, dwa dni błąkał się po okolicy, głodny i obcy, aż nareszcie pod bramami miasta Flensburga, spotkał na gościńcu handlarzy niemieckich, którzy pędzili woły w Danii zakupione.

Dostać się do Niemiec, a też tam ocalenie. Miasta hanzeatyckie prowadziły często spory z Danią, może mu nie odmówią pomocy.

I tym to sposobem potomek królewskiej rodziny, wychowanec wszechnicy oksfordzkiej, został poganiaczem bydła!

Ale prawdziwy majestat, to majestat wielkich serc, a takie nie uginają się w przeciwnościach. Nie ugiał się też Gustaw, wytrwał w służbie pastuszej i szczęśliwie przybył do Lubeki. Król Chrystyan wysłedził jednak zbiega, zażądał od hanzeatyckiego miasta wydania zakładnika. Zgromadzono radę mieszczan, obawa zemsty potężnego sąsiada zaczęła brać górę, Gustaw czuł się zgubionym, kiedy burmistrz Broem przemówił za nim gorącymi słowami.

— Hańbą, okrylibyśmy nasze miasto! — wołał do zgromadzonych i głos szlachetnego człowieka znalazł echo w sercach panów rady.

Odrzucono zgodnie żądanie Chrystyana jako uwłaczające godności wolnej Hanzy, a młodzieńca wyprawiono potajemnie do Sztokholmu, gdzie spodziewał się odpocząć wśród rodziny.

Ale na granicy Szwecyi spotkały go wieści sztokholmskie, o krwawej kąpieli. Stracił w niej rodzinę, przyjaciół i mienie.

Długie lata drżała Szwecya pod potężną ręką Chrystiana, Gustaw był zbiegiem, na głowę jego nałożono cenę, więc serce zboleło po stracie tylu ukochanych mogło zwątpić i rozpaczać, ale potężny duch młodego Wazy nie dał się zwyciężyć nieszczęściu.

On znał lud Szwedzki i ufał mu, do tego ludu uciekł po ratunek dla siebie i kraju.

Na północ na Słokach gór mieszkało dzielne plemię Dalekaryjczyków. Wśród pełnego prostoty śmiałego ludu schronił się Gustaw, tam chciał jednać stronników dla sprawy Szwecyi. Bez grosza, opuszczony od wszystkich, błądził wygnaniec po lasach, głód zmusił go do pracy, i znów potomek królewski zdobywał chleb rękami, kopał miedź w podziemiach, ale nie przywykły do wilgoci, zapadł na zdrowiu i musiał szukać innego zarobku.

Zgodził się więc w jakimś dworze karyjskim do młocki. Bił cepami zboże, a jednocześnie, jak wprzód wśród górników, tak potem między rolnikami miał ziarna młodości do Szwecyi i myśl wyparcia Duńczyków. Podejrzevano jednak, że kryje tajemnicę, a gdy stawiał się przed właściciela wioski, ten wymówił mu robotę, bo poznał Gustawa. Widywał go dawniej w Upsali.

I znów wśród głodu i chłodu błąkał się biedny zbieg w górach, szukając chwilowego schronienia u wiernych mu wieśniaków, ściągany jak zwierz w kniei, głód też zmusił go przyjąć raz jeszcze służbę we dworze, ale teraz trafił gorzej. Właściciel wioski Arund Peterso był kiedyś towarzyszem broni Gustawa. Waza mógł się spodziewać opieki od starego kolegi. Doznał jej też pozornie. Nikczemny Arund złudził wygnańca obietnicami, a tymczasem zawiadomił najbliższy posterunek duński, żądając pomocy w celu ujęcia zbiega. Wszystko więc byłoby stracone, Bóg jednak odwrócił grożące niebezpieczeństwo i odwrócił ręką szlachetnej kobiety.

Zona Arunda odgadła zamiary męża, dreszcz grozy wstrząsnął nią; zdrada, zdrada w jej rodzinie! Na to nie pozwoli nigdy. Dzielna i odważna, sama zaprzęgała małego konika i znanemi sobie drogami uwiozła Gustawa z pomiędzy nieprzyjaciół.

Uwiozła do życzliwego Gustawowi proboszcza, i zacny kapłan przechował zbiega w kościele, a potem powierzył opiece wieśniaka Nilsona, o którego wierności był pewien. Służył więc Waza za chłopskiego parobka, szerząc wśród ludu miłość Szwecyi, ale znaleźli go duńscy siepacze. Oddział wojska otoczył chatę; wszystko zdawało się stracone, gdy znów kobieta ocaliła wygnańca.

Zona Nilsona, widząc nieprzyjaciół, schwyła rydel i zaczęła nim ekładać Gustawa, wykrzykiwała przytem, że wypędzić musi darmo-zjada. Jakoż wpehnęła go z chaty, a dowódcą oddziału, przybyły aresztować potomka królów, nie zwrócił uwagi na leniwego parobka.

Podstęp udał się znakomicie, lecz ośmielony powodzeniem Gustaw, postanowił udać się teraz do wsi Stättwichu, gdzie obiecano mu pomoc w walce z Danią. Pocziwy Nilson naładował furę słomą i ukrył w niej zbiega, ale na moście za wsią stała straż duńska, nie było innej drogi, podejrzevano, że tedy przekradać się będzie Waza.

— Co wiesz? — spytał żołnierz.

— Cóżby? słomę — odparł śmiało wieśniak, chociaż wiedział, że naraża życie.

Wtedy Duńczyk schwycił włócznię i zaczął kłóć nią snopki a kołąc, zranił ukrytego w słomie Gustawa.

Ale bohater szwedzki nie jęknął. Zniósł ból, jak zaościł trudy i głód. Był to dzień celu, i dopiął celu. Wyparł Duńczyków z pomocą dzielnych Dalekaryjczyków, a powołany na tron głosem całego narodu, stał się założycielem dynastyi, która wyniosła Szwecyę do niebywalej dotąd potęgi.

Z. Bukowiecka.





